

25. III - 71. 457
16⁴⁰ 17⁰⁰
BIBLIOTEKA
PUBLIKACJA W WYDAWNIU
81000970
D-7
17 III 71

"WSZYSTKIE SOKI DOLINY"

(fragmenty)

RA
G
Gdyby nie to, że głód zaczął im porządnie doskwierać, zapędziliby się tego sierpniowego popołudnia jeszcze dalej i każda myśl o powrocie do internatu pani Sowborowej sprawiłaby im przykrość zgoła rzetelną.

UX
Ścieżki, którymi Krzysztof obiecuje - pod gwarancją i na czas - przywieść Ludwika do stołu pani Sowborowej jeszcze przed podaniem deseru, wiodą poprzez góry. Pomniejsze wprawdzie, ale strome, tu i ówdzie ścięte pionowymi urwiskami. Ale Ludwik godzi się na każdą drogę, byle krótszą. Pomimo dobrego nastroju i niezłej kondycji fizycznej, zaplątany w swój nieporęczny strój, nieporównanie bardziej męczy się od Krzysztofa, przyodzianego jak należy, w skafander i szorty - których Ludwik tak bardzo, choć skrycie, mu zazdrości. Gdyby wiedział, byłby się przecież przebrał w coś sportowego... Ten Krzysztof, z nim nigdy nic nie wiadomo...

Pomimo tych niewyjawionych pretensji, Ludwik zdaje się całkowicie na doświadczenie oraz intuicję swego kuzyna, nieraz już pełniącego obowiązki przewodnika.

Idą w milczeniu.

453

To kamienne, wymarłe bezdroże, ten księżycowy nieledwie pejzaż, gdzie ani ziele ani kwiat zakwita, budzą w Ludwiku żarliwą nostalgię za życiem pośród ludzi. Choćby nawet obcych, zupełnie nieznanymi, byle tłumnie i gwarnie przepływali obok niego. Był słyszał ich głosy, sam dźwięk człowieczej mowy. Nawet takie tylko bierne uczestniczenie w powszechnym bytowaniu sprawiłoby mu ulgę ogromną. Spozstrzega, że dzieją się w nim sprawy zagadkowe, które Krzysztof, zawsze taki dosłowny i rzeczowy, nazwałby po prostu - gdyby się ich domyślał - "stanem wzmożonej nerwowości" lub jeszcze dosadniej: "objawem hysterii"...

Ludwik przystaje na moment, by spojrzeć w dół. Dolina wygląda jak półmisek z soczystą sałatą. Tęskni do tej swojskiej zieloności, pośród której czuł się, tak niedawno jeszcze, bezpieczny jak w ogrodzie u rodziców. Widok brylującego w słońcu potoku, przywodzi mu na myśl pragnienie wędrowca przemierzającego pustynię. W wyobraźni smakuje rozkosz wody, odczuwa rozpustną pożądlivość rzeźwienia, spazm ciała cuconego chlustem zimnego źródła. Spragniony soków doliny ponad wszystko inne, skłonny jest zawrócić, ale wstrzymuje go strach przed zejściem po stromym usypisku.

Tymczasem Krzysztof wskazuje na zegarek: - Późno już - zdaje się mówić - i że dla młodych to żadna wspinaczka taki spacer po pagórkach...

Drwina jest oczywista, więc Ludwik dałby wiele za to, by móc zakląć głośno, po męsku. Lecz dbały o swój autorytet, w ostatniej chwili powstrzymuje się od tak łatwego i niegodnego sposobu rozładowania złości.

A jest się o co złościć.

Jeszcze tam, w dolinie, byli sobie równi. Pod niektórymi względami nawet, zwłaszcza gdy chodziło o wynajdywanie argumentów w zapalczywie prowadzonych dyskusjach, Ludwik istotnie przewyższał swego partnera. Jak zwykle, spór o antynomii dwu etyk: laickiej i chrześcijańskiej. Obkuty w filozofii na cztery rogi, zbrojny w metody prowadzenia walki, bezpardonowo i zjadliwie, niweczył w pół zdania niezręczne wywody Krzysztofa broniącego z twardym uporem swoich tez. A ten, świadom swej nieelokwencji, z trudem akuszerował słowom, dopomagał im w przyjsciu na świat zamaszystymi gestami, często już we wstępnej fazie ruchu ~~zapóźnie~~ zapóźnionymi i odartymi z wyrazu błyskawicznymi kontrargumentami Ludwika. Wtedy, wzniesione jak do ciosu ramię Krzysztofa, opadało bezsilnie.

Pozbawione ekspresji, wykonywało jakieś szczątkowe, karykaturalne ruchy obronne. - Nie masz racji! Słowo honoru że nie masz! - wykrzykiwał. I to było wszystko na co się zdobywał.

Tutaj natomiast, na tym pustkowiu, rzeczy nabierają innych wymiarów i innego kolorytu. Tak czy inaczej, fakt przewagi Krzysztofa jest oczywisty - i na myśl o tym, Ludwik doznaje uczucia głębokiego upokorzenia. Tutaj Ludwik wie, że jest pokonany, tak jak Krzysztof jest pewny swojej wyższości.

Ale wszystkie te sprawy toczą się swoim osobnym, podskórnym nurtem i nie zmieniają biegu rzeczy, jaki nadał im upór Krzysztofa i jego nieodwołalna decyzja: poprzez góry, doliny, do stołu pani Sowborowej. Ludwik, przywykły do konsekwencji i wierności nie tylko samemu sobie, nawet wtedy, gdy już i czas i refleksje zdążyły nadwątlić w nim pewność racji, a wspomnienie rozkoszy jaka jest udziałem wszystkich podejmujących własne, ważne decyzje, zatarło się na tyle, że nie spełnia już roli wspierającej danego przedsięwzięcia - nawet wtedy pozostaje zazwyczaj na swoich pozycjach.

Tak jest i teraz. Ludwik zacina wargi i gramoli się pod górę, chociaż wie że czyni sobie na złość. Idzie dalej dla samej zasady nie cofania się.

Idąc w ślad za kuzynem, Ludwik zapędzą się w kotlinkę, gdzie tylko niebo i kamienie. Każdy krok postawiony na skalnym dnie,

zudząco przypomina stąpanie po nawie pustej katedry. Ludwik tkwi

pośrodku tego wystygłego pejzażu, sam jeden, z zadyszką w piersiach.

Przestał już wierzyć, że gdzieś w dole, za tymi granitowymi blokami,

istnieje jakieś życie. Internat pani Sowborowej wraz z jej wykwintnym

stołem, rysuje mu się jako pojęcie samo w sobie miłe, nawet rozrzew-

niające, lecz abstrakcyjne - stąd i nieosiągalne. To samo ów karp

po żydowsku - atut dzisiejszego obiadu, a zarazem pośrednia przyczyna

obecnej udręki, przestają go zupełnie interesować. Rzeczywistość, ta,

dziejąca się t e r a z , odgradza go od tamtej, do niedawna jeszcze

realnie istniejącej nie tyle upływem czasu, co zmianą miejsca

i scenerii.

- Podwiń kieckę! Idziemy!

Ludwik spogląda w górę. Widzi kuzyna balansującego na wąskiej półce, przyklejonego do chropawej powierzchni skały. Uzuje się tam zupełnie dobrze na wysokości i wcale nie bluffuje. Widać to z całej jego postawy i zachowania.

- Idź za mną!

Krzysztof zeskakuje z półki i znika. Ludwik słyszy jego pokrzyki i nawoływania, ale nie ma czasu zastanawiać się nad ich przyczyną. Jakiś głaz stacza się po zboczu - wynik beztroskiej działalności Krzysztofa - za nim zsuwają się inne, szorują w dół po łupkach i piargach. Krzysztof wychyla głowę zza krawędzi skały i oznajmia trąmfalnie:

- Tu są szarotki!

- Nie zrywaj! Niech cię Bóg strzeże! Są pod ochroną!

Ale Krzysztof stoi już na skale z szarotkami w zębach, jak się zdaje, gotowy zerwać następne. Jest to wprawdzie tylko potencjalna groźba, jakże jednak łatwa do urzeczywistnienia! Niechby się tylko natknął na jakieś nowe stanowisko szarotek...

Ludwik ma obowiązek być w porządku z własnym sumieniem w tym samym stopniu, co dbać o spokój sumienia innych - i ten obowiązek chce bezwzględnie spełnić. Zgorszenie, niezbędny warunek emocjonalny, bez którego nie ma reakcji na czyn nieetyczny, zbyt jeszcze słabo wstrząsnęło nim wewnętrznie /ma to sobie za złe/ aby z całą mocą zaprotestować przeciwko temu wołającemu o pomstę do nieba wykroczeniu. Przymyka więc oczy, chcąc sobie dokładniej wyobrazić i skuteczniej obrzydzić kuzyna w roli prymitywnego dewastatora przyrody.

I widzi go też, barbarzyńcę, rwącego szarotki całymi pękami - jak szczaw...

Ta prawdziwie elektryzująca wizja napawa go świeżą energią. Nie ogląda się na nic, tylko zawzięcie brnie po stromych wertepach. Bezlitośnie obija kolana o skalne zadziory i nie czuje - przynajmniej na razie - żadnego bólu. Jego zazwyczaj umiarkowane sprawne kończyny wykonują teraz zręczne, krabie ruchy, a wszystkie są skuteczne i celowe.

Krzysztof kwituje nadspodziewany taterniczy zapach kuchni szczerym podziwem:

- Zaskoczył! Hurrra!

Ma się jednak nieco gorzej, kiedy w chwilę później Ludwik staje przed nim z policzkami całymi w ogniach i podtyka mu pod nos swój krępy kułak.

- Prosty juhas nie zrobi tego, co ty zrobiłeś!

Prelekcja trwa długo i jest namiętna, co oczywiście nie przesądza o jej dydaktycznych skutkach. Ludwik przekonuje się o tym, roztrwoniwszy cały swój niemały zasób środków pedagogicznych. Poniża się nawet do perswazji, metody, którą skrycie gardzi. /Nigdy dotąd nie stosował jej wobec ludzi równych sobie pod względem intelektualnym

i towarzyskim./ Jego słowa są dla kuzyna niczym więcej jak cykaniem
świerszcza w trawie. Zupełna moralna głuchota...

Ludwik rozumie, że należy czym prędzej zakończyć próbę
reedukacji kuzyna i zamknąć całą reprimendę ostrym napomnieniem:

- Pamiętaj, żebyś mi więcej tego nieźrobił!

I w gruncie rzeczy jest zadowolony, że incydent z szarotkami
taki właśnie znalazł epilog.

- Dokąd leziesz!? Tędy, tędy!

Nawróconemu z błędnej ścieżki Ludwikowi odchodzi wszelka ochota
do dalszej wspinaczki. - Istna katorga - myśli - Po co to wszystko?
Dla marnego obiadu? - A głośno: - Daleko jeszcze?

Krzysztof wskazuje jakiś nieokreślony punkt w przestrzeni,
najogólniej tylko wyznaczający kierunek celu. Naprawdę nic pociesza-
jącego.

- Pani Sowborowa... Jak my wyglądamy... ona się nas nie doczeka.
- napomyka ostrożnie Ludwik.

- Doczeka się, doczeka...

- Ale to nieładnie tak... Prosiła....

- Nie przejmuj się.

- Swoją drogą, to nie jest w porządku!

Krzysztof odnosi się lekceważąco do skrupułów Ludwika.

Nie zważa na jego utyskiwania, tylko wie dzie go coraz śmieiej.

Przecież pokazal co potrafi, niech się więc teraz nie pieści, tylko rusza a żwawo, bo pora rzeczywiście spóźniona. Raz jeszcze należy się wziąć w garść. Obiad trzeba zjeść i tak i tak.

Obojętnie czy u pani Sowborowej czy gdzie indziej.

I znowu roztacza się przed nimi świat. Są w miejscu, skąd widok nadolinę. Jeszcze bardziej zieloną, jeszcze zachłanniej opitą sokami potoków i przesyconą oddechem jodek niż ta, którą pozostawili za sobą. Studzeni podmuchami ciepłego wiatru, odpoczywają, zapałrzeni w krajobraz.

Ale nie dla Krzysztofa taki bezruch i kontemplacja.

- Wstawaj, bracie. Idziemy!

Ludwik dźwiga się z kamienia. Dopiero teraz uprzytamnia sobie jak bardzo jest zmordowany. Międl i w sobie żal do kuzyna o to, że go wywiódl na wycieczkę nie przygotowanego. A już w tym stroju, mój ty Boże... tak się do turystyki nadającym jak nie przymierzając, słoń do lotu...

Ta część drogi, wciąż jeszcze niełatwa, mniej już pochłania sił. Rzecz zasadza się głównie na zręczności.

Zwłaszcza umiejętność zachowania równowagi jest tutaj w cenie i sprawia wiele kłopotów - Ludwikowi przede wszystkim. Przyczepność podeszew jego czarnych półtrzewików jest nazbyt mała by mógł w krytycznych sytuacjach utrzymać postawę pionową. Tak czy inaczej, teraz nawet i Ludwik nie wątpi już o istnieniu pani Sowborowej z jej internatem, jadalnią i z solidnie zastawionym stołem.

W dole nikła perć. Z góry widzi się jej pętle i zakola schodzące w konwulsjach coraz niżej w dolinę. Optyczną ciągłość ścieżynki przerywają liczne występy skalne, tak że przedstawia się ona jak pocięty na dzwona węgorz. Każdy zakręt ścieżki odsłania przed nimi nową perspektywę doliny. Z daleka widać szosę skrzącą się w słońcu jak żywy potok.

Ludwik mruży oczy i wodzi wskazującym palcem wzdłuż linii drogi.

- To tam jest ta Sowborówka...! - brzmi to jak: - tu cię mam, złodzieju! - Ponad eternitowy dach willi wlatuje niebieskawy kalafior dymu.

- Podgrzewają nasze zupki! - zaciera ręce Krzysztof. - No, nie jest z nami tak źle. Ruszamy!

Odkąd Ludwik poczuł pod nogami nieco pewniejszy grunt, przestał być niezdarnym zrzędą. Jest znowu sobą, co ni mniej ni więcej wyraża się pryncypialnym i nieco protekcjonalnym stosunkiem do Krzysztofa. Przekomarzają się też od nowa- idzie, ma się rozumieć - o szarotki, zerwania których Ludwik nie może darować kuzynowi. W słowach nie wolnych od patosu, punkt po punkcie, wykazuje mu straszliwy bezsens popełnionej zbrodni. Ten ~~zakwiank~~ zatwardzialec, gdyby miał sumienie, byłby się po prostu spalił ze wstydu. Byłby zmiękł w strumieniu łez, opłakując swoją upadłą, mizerną osobowość. I nie byłby taki pewny siebie tutaj, na tej wąskiej ścieżce, gdzie łatwiej o nieszczęście niż o co dobrego. O pół kroku w bok co jest? No, może nie przepaść, ale przecież stok wystarczająco pochyły, aż gęsto najeżony poutykanymi w ziemi ostrymi granitami. Niechby tak się noga powinęła? Opamiętaj się człowieku póki czas...

Ze sposobu zachowania Krzysztofa Ludwikowi nie trudno wnioskować jak kuzyn przyjmuje jego nauki. Obserwacje dokonywane ukradkiem, skłaniają go raczej do pesymizmu. Krzysztof zajęty jest zupełnie czymś innym niż roztrząsaniem kwestii etycznych. A już najmniej interesują go wymówki Ludwika dyktowane, jak mu się zdaje,

875

Ludwik naocznie bada przyczynę postoju. I on też wychyla głowę poza krawędź urwiska - ale natychmiast cofa się, z twarzą zmienioną. Wierzchy dłoni przykłada do policzków i pociera je jak na siarczystym mrozie.

- Siadaj!

Bez słowa sprzeciwu spełnia nakaz Krzysztofa. Oszołomiony tym co zobaczył, powoli sięga po brewiarz. Z nosem utkwionym w książce przysiada do kuzyna. Siedzą oparci o siebie plecami - i milczą. Krótkowzroczne oczy Ludwika ścigają rozbiegane maczki nonparelu. Niesforne ziarna czcionek - roje mszyc, nieustannie rozluźniają swoje szeregi, zachodzą jedne na drugie, przemieszczają się na kartce, pulsują istnym owadziwym wyrojem.

- Czyta półszepem. Raczej powtarza raz na zawsze zapamiętane zwroty i sentencje. Szeleści przy tym kartkami, aby Krzysztof miał pewność, że czyta naprawdę, nie symuluje i że tamto, dziejące się poniżej, nie obchodzi go absolutnie nic.

Tyle Ludwik.

Ale i Krzysztof maskuje swoje zaafierowanie niby to beztroskim gwizdem. Rozprasza pozorne skupienie kuzyna irytującym podrygiwaniem nóg.

- Nie trzęś! Drygasz i drygasz... Lepiej pomyśl o czymś wzniosłym. Zastanów się nad sobą...

Krzysztof wzrusza ramionami.

- Cóż bardziej wzniosłego - myśli - może dziać się wobec spraw jakie odprawiają się tam, nieco niżej, w pełnym słońcu sierpnia, w krajobrazie o klarownym powietrzu, drgającym od ciepła i zapachu ziół? W miejscu wyniesionym pod samo oblicze natury, skąd lot w wniebowstąpienie taki łatwy, sam przez się zrozumiały i szczęśliwy...?

Oczy Ludwika wlepione są w brewiarz, ale jego ręka cicho błądzi po ścieżce w poszukiwaniu garści żwiru...

- Daj spokój, to nie ma sensu - odkrywa jego zamiar Krzysztof.

Ludwik udaje, że nie słyszy. Slini palec i przewraca kartkę. Czytanie jak z początku tak i teraz nie idzie mu najlepiej. Wręcz przeciwnie. Jego uwaga rozprzęgła się tak dalece, że nawet zebranie myśli przychodzi mu z trudem. Myli się, płacze, to znowu utyka w miejscu. Ciągłe powtarza te same słowa i frazy. W końcu zamyka brewiarz, chowa twarz w dłoniach i wzdycha:

- Tak zwyczajnie, w poprzek ścieżki... Jak baran z owcą?

- Zamknij się...

Nadal podpierają się plecami bo tak jest im najwygodniej.

W niezdrowej ciszy śledzą wysmuklające się z wolna cienie skał.

Dach Sowborówki przygasa, coraz głębiej nurza się w jodłowej gęstwie. Dym już dawno uleciał z komina.

Ich niecierpliwość narasta. Krzysztof uprzedza wybuch kuzyna; pierwszy wsadza głowę między łodygi tojadu - mordownika: tamci dwoje siedzą w czułym objęciu i palą papierosy.

- Idziemy!

- Tylko nie próbuj mnie nabrać... - Ludwik podejrzliwie.

Starają się narzucić sobie pozory naturalności. Chodzi o to, by wyglądało, że idą wprost z gór. Głośno komentują jakiś szczegół w dolinie, wskazują go sobie palcami i sprzeczą się - tym razem jest to zwykła gra - co też to być może: - dom wczasowy? Hotel? Czy sanatorium? I tak rozprawiając, chcą jak najszybciej minąć to kłopotliwe miejsce. A nie jest to wcale sprawa taka łatwa, bo ścieżka jest wyjątkowo wąska. Młodzi czynią w ich stronę zachęcające gesty; dają do zrozumienia, że droga wolna, chociaż zajmują całą jej szerokość. - Przecisną się jakoś...

Na dowód tego podciągają kolana i skuleni, oczekują nadchodzących. Mimo tych grzeczności - a właściwie przez nie - cały manewr zapowiada się dość kłopotliwie. Krzysztof ułatwia sobie zadanie; po prostu czepia się ramion tych dwojga młodych ludzi /to samo będzie musiał uczynić Ludwik/ i tak szczęśliwie przedostaje się na drugą stronę przeszkody. Przedtem rozdziela między nich te kompromitujące go szarotki...

Są zakłopotani darem, ale szczęśliwi.

Krzysztof wcale nie jest ciekaw miny kuzyna mozolnie wlokącego się za nim. Idzie bez wyrzekań, bez wymówek. Milczy jak nigdy - i to go właśnie niepokoi. Więc raz, ale to już w dolinie, przekłamuje swój wewnętrzny opór i nieznacznie zerka do tyłu:

właściwie nie dzieje się nic interesującego. Chyba to jedno: Ludwik przystanął na ścieżce i mocuje się z zapięciem swojej zbyt ciasnej koloratki. Solidne spinki trzymają mocno, więc nic dziwnego, że twarz Ludwika wyraża najwyższy stopień irytacji i zniecierpliwienia. Albo jest to grymas śmiertelnej męki pragnienia, grymas nieposkromionej żądzy spicia wszystkich soków tej zielonej doliny...

I to wszystko.